

# MEMORIAL

Generał Marii Wittek

---

---

---



PWK

AK  
Śląsk

AKSAK Władysława  
z d. Bueka

1 2/WS

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — .....

AKsak Władysława  
T. 2 / WSK

**I. Materiały dokumentacyjne**

- ✓ I/1 – relacja właściwa k 28, s. 1-28
- I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora
- I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora

**II. Materiały uzupełniające relację**

**III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):**

- III/1 – dot. rodziny relatora
- III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r.
- III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 – 1945)
- III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r.
- III/5 – inne..

**IV. Korespondencja**

.....  
.....  
.....  
.....

**V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”]**

**VI. Fotografie**

I/1 Relacja niemiecka

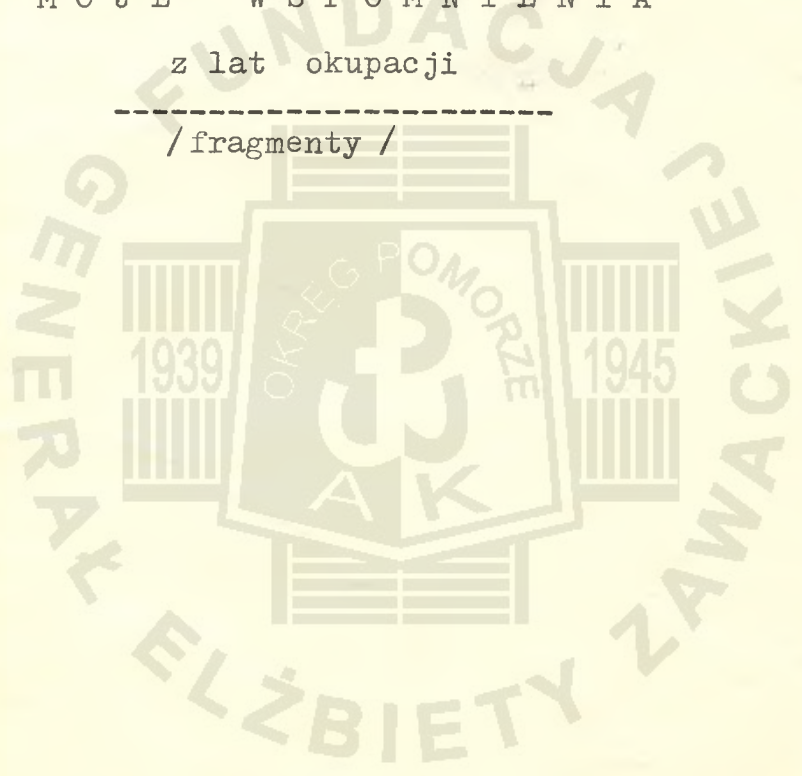
- Relacja niemiecka, Kraków 1979, mps, k. 28, s. 1-28



Władysława A k s a k

MOJE WSPOMNIENIA  
z lat okupacji

-----  
/ fragmenty /



2

1.-

S c h e m a t   r e l a c j i   u c z e s t n i c z e k  
w a l k   o   n i e p o d ł e g ł o ś ć  
-----

a/.-

- W s p o m n i e n i a -

I. Dane osobiste

1. A k s a k      Władysława
2. ur. 11.V. 1913 r.-
3. Jan      - Franciszka      Aksak z d. Bucka
4. Ojciec - pracownik PKP / Polskie Koleje Państwowe /- na stacji kolejowej w Wadowicach. Matka pracowała w domu - prócz tego że Ojciec pracował na Kolei - mieliśmy małe gospodarstwo-około 3 hekt. ziemi i dom - gdzie mieszkaliśmy tj. w Choczni nr 43 -k/Wadowic.
5. Wyższe - Wydział Dziennikarski w Krakowie UJ. w 1951 r.- składałam egzamin dyplomowy.  
Nie pracowałam w swoim zawodzie z przyczyn różnych a przede wszystkim - z powodu ciężkiej choroby mojej Matki - a możliwości pracy dziennikarskiej/ jak mi zaproponowano przy egzaminie dyplomowym / były w Szczecinie .Mieszkałam w Krakowie i Matka też.
6. Pracowałam jako pracownik umysłu w przedsiębiorstwach Państwowych.
6. Adres : ul. Widok 18/ m.20 - 31-564      K r a k ó w      - Dąbie .

II. Okres przedwojenny do 1.IX.1939 r.-

1. Od dnia 1.01.1937 r.- do 31.XII.1938 r.- pracowałam w 7-mioklasowej Szkole Podstawowej w Jeleśni k/Żywca - W szkole podstawowej w Korbielowie - w Pewli Małej i Wielkiej , w Krzyżówce oraz in. wioskach k/Pilska - jako nauczycielka religii płatna od godzin... / Mam z tego okresu zdjęcia z dziećmi w szkole ... Należy jeszcze zaznaczyć , że po zdaniu egzaminu maturalnego - bezpośrednio po egzaminie dojrzałości - przed II wojną światową było b, trudno o pracę . Doksztakałam się jeszcze robiąc specjalizację - w Krakowie , z czym nie miałam trudności finansowych gdyż mieszkałam w domu przy rodzicach - a codzienne dojeżdżanie do Krakowa na wykłady było tylko trochę męczące ale bez nakładów finansowych -poniaż jako córka kolejarza miałam bezpłatny bilet miesięczny. Po ukończeniu 2-letnich kursów Katechetycznych i uzyskaniu dyplomu jakiś czas pozostawałam w domu udzielając prywatnie lekcji dzieciom więcej zamożnym ale za to mniej zdolnym i leniwym...  
W tym czasie w Jeleśni - przy 7-mio klasowej szkole powszechnej prowadziłam organizację "Zuchów" . Nie mogę jednak przypomnieć

./.

sobie czy była już tam kiedyś taka organizacja - czy dopiero w czasie mojej tam pracy została zorganizowana. Ale wydaje mi się-że jednak została ona założona w czasie mojego tam pobytu, i że były to dopiero pierwsze początki harcerstwa młodszego w tej szkole.

Ta młoda organizacja "Zuchów" była w tym okresie b. prężna...Urządza-  
liśmy równe imprezy, przedstawienia w czym b. pomocne było kierownictwo  
Szkoły / Dyr. Mróza / - a szczególnie interesowała się naszą pracą  
zuchowską i dzielnie z nami współpracowała nauczycielka tej szkoły  
P. Zimnalowa,,,

Dużym powodzeniem u naszych najmłodszych harcerzy cieszyły się  
częste wycieczki Korbielów -Pilsko . Pilsko - centrum beskidu żywieck-  
kiego. Piękne ścieżki wśród sosnowych lasów prowadziły na szczyt ...  
Rozlegał się wesoły śpiew harcerskich piosenek ... Szczyt Pilska był  
b\*dogodny do zabaw i podchodów - doskonałe tło stanowiły kępy koso-  
drzewiny.

Przez Pilsko Przechodziła granica polsko-czechosłowacka. Niestety -  
z biegiem miesięcy nasze wycieczki stawały się mniej bezpieczne -  
oraz utrudnione... Słyszało się coraz częściej o różnych ekscesach  
straży granicznej czechosłowackiej - czy były prawdziwe..? trudno mi  
coś o tym powiedzieć - ale musiało jednak coś być-skoro szeroko  
o nich mówiono i różnie komentowano.

Już w roku 1938 - gdzieś z początkiem lata - wieczory stały się niepokojące.  
Od strony granicy Czechosłowackiej oświetlano stronę Polską  
byстрыmi reflektorami - ruchomymi. Obserwowaliśmy te nocne manewry  
reflektorów z wielkim niepokojem ... a później -wrzesień -aneksja Czech  
Od dnia 1.01.1939 r.- otrzymałam posadę nauczycielki kontraktowej  
w 7-mio klasowej szkole powszechnej w Bulowicach k/Kęt, gdzie praco-  
wałam do końca roku szkolnego tj. 30.VI.1939 r.-

.2.-W szkole średniej należałam do przysposobienia wojskowego kobiet PWK-  
Zakres działania - szkolenia był określony wytycznymi i regulaminem  
jednakowym dla tej organizacji w Polsce -na pewnych szczeblach.  
W 1939 r. przeszłam również szkolenie przeciwlotnicze- zorganizowane  
dla kadry nauczycielskiej naszego okręgu - w Kętach. / Mam zdjęcie  
grupowe z tego okresu z napisem u dołu fotografii"... silni, zwarci,  
gotowi..." o ironio losu ! - jakże co innego miały przynieść  
tragiczne dni września tego roku... A jednak - w tej strasznej dla  
nas tragedii września - nikt nie może zaprzeczyć ani zarzucić nam  
braku bohaterstwa, odwagi i poświęcenia polskiego żołnierza i całego  
społeczeństwa. Późniejsze wojenne działania i front hitlerowski roz-  
szerzający się na całą Europę i sięgający poza jej granice miały pot -  
wierdzić męstwo polskiego żołnierza na wszystkich frontach wojennych  
Wakacje 1939 r.- spędzałam w domu. Jest sierpień -nastroj coraz bardziej  
w choczni k/Wadowic/

3.7

nerwowy i przygnębiający. Stacjonująca w naszym domu jednostka wojskowa / od kilku miesięcy / otrzymuje rozkaz wymarszu... Dowiadujemy się - że w stronę Węgierskiej Górki /k/Żywca/-Tam też parę dni później toczyły się zacięte walki z Niemcami. Kto z nich ocalał... kto przeżył tą straszną wojnę...?

Należyło by jeszcze zaznaczyć - że ze względu na bliskość Śląska - słyszeliśmy o prowokacjach niemieckich na Śląsku - zwłaszcza w Bielsku, Komorowie... gdzie zamieszkiwali Niemcy... zresztą - kiedy w dniu 28 czy 29 sierpnia 1939 r. - znalazłam się w Białej w Inspektoracie Szkolnym - celem odebrania mojego dyplomu maturalnego - oryginału - w podaniu o pracę należało wówczas - w okresie międzywojennym / składać oryginalny dyplom maturalny / - którego już nigdy nie odzyskałam , gdyż jak mnie poinformował pracownik w inspektoracie - wszystkie akta zostały już wywiezione niewiedomo gdzie... miałam wówczas okazję na własne oczy stwierdzić rozbite i zdewastowane wystawy księgarń polskich w Bielsku - V kolumna działała tu już niemal jawnie. Odczuwało się nastrój wysokiego napięcia... Jedni ludzie snuli się po ulicach skuleni i zatrwożeni - to Polacy ... a inni - szczególnie młodzież - chodzili butni - zachowując się wrzaskliwie i prowokacyjnie - to organizacja hitlerjugend na Śląsku - V kolumna...

Wróciłam do domu pełna najgorszych przeczuć. Jest sierpień 1939 r. - środa - m o b i l i z a c j a powszechna. Przed obwieszczeniami tłumy ludzi - różnego wieku. Każdy chce się zaciągnąć do wojska czy ma kartę powołania czy nie - wszyscy chcą i myślą o tym by pospieszyć na ratunek zagrożonej Ojczyźnie. A że był straszliwy chaos w mobilizacji - to każdy z nas pamiętający tamte czasy wie i patrząc na to wszystko - zaczął sobie zdawać sprawę z groźby sytuacji...

III. 1 września 1939 r. - p i ą t e k - już we wczesnych godzinach słonecznego ranka - dowiadujemy się... wojna... Hitler napada na Polskę - pogwałcone wszelkie prawa i układy...

Więści groźne. Wojska nasze - skoncentrowane na granicy polsko-niemieckiej Śląska zaczynają się wycofywać bez żadnej decydującej bitwy - początkowo jeszcze systematycznie ,by już w 2-gim i 3-cim dniu wojny przejść w ucieczkę.../ relacje wspomien z okresu pierwszych dni wojny - tej całej makabry ucieczki - dezorientacji - sprzecznych informacji a często siejących celowo zamieszanie wśród wojska i ludności cywilnej już antypolskich prowokacji - nie opisze się w tych krótkich fragmentach moich ankietowych wspomnień/ - Szosa Katowice - Kraków, była świadkiem tej tragedii. Pod gradem zdradzieckich kul - dobrze zorganizowanej V kolumny na Śląsku - nasi broniąc się nieraz rozpaczliwie pojedynczo lub grupkami opuszczali polskie tereny Śląska - by później przejść już w ucieczkę... O ! V kolumna dobrze przygotowała na ziemi

śląskiej grunt dla armii hitlerowskiej...

Cofał się polski żołnierz - zmęczony, głodny.../ kuchnie polowe gdzieś się zawieruszyły- pytaliśmy o to żołnierzy /- już w poszarpanej odzieży no i odarty ze złudzeń...

Razem z wojskiem tłumy ludności cywilnej szło na ucieczkę. Zostawili wszystko - opuścili swoje domostwa - cały dobytek... Uciekali w panice przed nadciągającym wrogiem. Dokąd..? - gdzie chcieliśmy wówczas szukać schronienia przed nawałą najedźcy ...?- nikt z nas nie wiedział - ale wydawało nam się wówczas / ja też z całą rodziną tj. Mamą i młodszą 11-letnią siostrą Terenią poszłam na "ucieczkę"- w niedzielę 3.9.39r./ że, z wojskiem bezpieczniej - że gdzieś musi się coś rozstrzygnąć - jakaś decydująca bitwa zmusi wroga do odwrotu - bo żeby miało nie być Polski - naszej ukochanej Ojczyzny ...nie-tej myśli nikt do siebie nie dopuszczał...

W dniu 4 września - poniedziałek - gdy wojska hitlerowskie parły już na Kraków - wracaliśmy z tej nieszczęsnej ucieczki do domu - w Choczni. Nie uciekliśmy daleko - zaledwie kilkanaście kilometrów... Wyparły nas z szosy uciekające już w popłochu nasze wojska -Dotarliśmy do Barwałdu w nocy z 3-go na 4-ty września... Stamtąd wracaliśmy do Choczni. Żałobny to był powrót.

Nastała ciemna noc okupacji.

Do grudnia 1940 r- przebywałam w domu rodzinnym w Choczni- wraz z Mamą, siostrą Terenią i 16-to letnim bratem Jankiem / z Jankiem w różnych okresach /. Brat Janek w dniu 1 września - zaraz po napadzie hitlerowców na Polskę wyszedł z domu i nie wrócił... zaciągnął się jako ochotnik do wojska - w tajemnicy przed nami a przede wszystkim przed Mamą - /gimnazium jako student przechodził przeszkolenie wojskowe -PW./

Po kilkutygodniowych poszukiwaniach go po obozach jenieckich - w punktach Czerwonego Krzyża i in. punktach informacyjnych o jencach wojennych - zaginionych i poległych- w listopadzie 1939 r.- dokładnie 9.XI.39 r.- / posiadam z tego dnia - w którym otrzymaliśmy z PCK - w Kielcach- ze szpitala wojskowego - jenieckiego wiadomość o Janku - pocztówkę/ którą do dnia dzisiejszego przechowuję / - przepustkę uzyskaną w tym samym dniu przez " Der Landkommisar in Wadowitz" - do Kielc ... Zaznaczam, że Choczni i Wadowice - w tym czasie zostały już przyłączone do Reichu. Po otrzymaniu przepustki wyjeżdżam natychmiast najbliższym pociągiem. Nie pracowałam - mieliśmy jeszcze na szczęście źródło utrzymania-ziemię. Do Kielc dotarłam / jak przyjechałam to nawet trudno opisać/ w dniu 11 Listopada 39 r.- pamiętam dokładnie ... wszędzie wzmożona czujność... Pierwsze kroki skierowałam do katedry... nie miałam odwagi iść od razu do szpitala. W katedrze rozpoczynało się tridium ku czci św. Stanisława Kostki... Jakaś para - <sup>brała ślub</sup> - Ona skromnie ubrana ... On w mundurze żołnierza polskiego... A potem szpital PCK - przy ul. Sienkiewicza - o ile dobrze pamiętam poinformowano ~~nie~~-przypakowo - że szpital ten <sup>przejął</sup> ~~mieścił~~ się



w budynku należącym do katedry - w rezydencji biskupów ...?

11 listopad - jak już zaznaczyłam - wzmożona czujność Niemców daje się wszędzie zauważyć - szczególnie odczuwam to gdy chcę się dostać do szpitala jenieckiego - uzbrojony szwab na warcie - mimo przepustki i pocztówki ze szpitala PCK - w żadnym wypadku nie chciał mnie wpuścić i to jeszcze z walizką... odpędzał na drugą stronę ulicy a gdy nie ustępowałam groził karabinen zróconym w moim kierunku. Na szczęście chyba ktoś słyszał tą całą szarpaninę - bo nagle przed bramę szpitala wyszedł żołnierz polski w białym kitlu... podbiegłam do niego - pyta się kogo szukam ... czy dławią mnie - nie mogę słowa wykształcić pokazuję kartkę - zawiadomienie ze szpitala ... czyta i nagle oznajmia mi - " nie proszę pani-dziewczynki tu nie leżą - to szpital jenców / nieporozumienie - powstało na skutek użycia w pocztówce 2.przypłp./- Gdy wytłumaczyłam o kogo chodzi - natychmiast sobie przypomniałam a tak jest ... jest... Janek-taki wysoki młody chłopiec - już mu lepiej - niech Pani nie płacze uspokaja mnie ... żyje <sup>cały, czerwona</sup> Był to lekarz Polak - żołnierz - jeniec - o ile dobrze pamiętam - a chyba się nie mylę - nazywał się dr Kunicki . Porozmawiał z wartownikiem , coś długo mu tłumaczył - tamten gestykulował - wymachiwał rękami ale w końcu przystąpił do rewizji mojej walizki - zabierając mi wszystko co miałam dla Janka do ubrania - zostawił tylko jedzenie... Dr Kunicki przeprowadził mnie do małej poczekalni gdzie wkrótce przyprowadzono Janka... Szkielet , buzia przeźroczysta... i tylko w niej te oczy... Niestety nie jest to miejsce gdzie można dokładnie i szeroko opisać wszystkie okoliczności i problemy tamtych dni...

Po długich tarapatkach - staraniach - zdobywaniem metryki urodzenia / Janek był małoletni ale wyrosnięty nad wiek i Niemcy nie wierzyli że ma 16 lat / i przeszło dwu tygodniowym pobycie w Kielcach - przy wybitnej pomocy dr Kunickiego - który okazał mi tyle serca w tej sprawie - pomagając mi równocześnie z zakwaterowaniem mnie w Kielcach / zdaje się że w jakimś lokalu PCK/ - udało mi się uzyskać zwolnienie dla Janka ze szpitala jenieckiego - dosłownie w przeddzień wywozu jenców polskich do obozów w Niemczech- do Oflagu.

Był nieletni - i to było chyba głównym argumentem zwolnienia. Ale to były pierwsze miesiące po wojnie... z biegiem miesięcy nawet tygodni miało się okazać - że nieletniość nie była żadnym argumentem- Małoletni -Polacy byli tak samo traktowani jak dorośli - tak samo dosięgały ich więzienia - obozy koncentracyjne - i kule....

Z wycieńczonym i jeszcze chorym - wracałam do domu... a droga to była daleka . Bałam się panicznie - że nie dowiozę Janka żywego... był tak słaby - że nie mógł się utrzymać na nogach - a pociągi były przepełnione- Ale my Polacy w nieszczęściu jesteśmy solidarni... w separacie zrobiono mu miejsce - ta że mógł się położyć- dojechalismy do Zembrzyc.....

Zembrzyce - rz. Skawa stanowiła granicę między tzw. wówczas Generalnym Gubernatorstwem a ziemiami Polski przyłączonymi do III-Rzeszy. Wsiadamy z pociągu. Janka skłania się i upada. Podchodzi Niemiec z karabinem - dokumenty - przepustki - kontrola ... patrzy na Janka na jego wojskowe - poszarpane spodnie i twarz jeszcze dziecka - ogląda zwolnienie z obozu i mówi : to u was dzieci poszły na wojnę - a gdzie wy chcieliście tą Polskę wynieść - na góry ?... Patrzę błagalnie na Janka i mocno ściskam jego rękę - boję się że wybuchnie... Wsiadamy do pociągu - który nas zawiezie do Wadowic.

Dojeżdżamy. Nie wiem jak doprowadzę Janka do domu. Z dworca kolejowego w Wadowicach do n/ domu w Choczni jest około 2-ch kilometrów. To nie na Janka siły. Ale Mama ta kochana i czekająca na jedynaka Matka - wynajęła furmankę która przez kilka dni - codziennie podjeżdżała na stację do pociągu i w tym dniu czekała na nas... Jakie było <sup>to</sup> powitanie <sup>z Matką...</sup> ... rekonwalescencja. Dalsze losy - miały do przynieść już najbliższe tygodnie a później lata okupacji...

Ale taka była ta Polska przedwrześniowa - itaka niezawodna - bohaterka, pełna poświęceń dla Ojczyzny i z pogardą patrząca w oczy śmierci- młodzież przedwojenna...

Już od listopada 1939 r.- zostaliśmy przyłączeni do "Reichu-III-cie Rzeszy. Granica między tzw. III Rzeszą a utworzonym wówczas Generalnym Gubernatorstwem - ~~przebiegała~~ <sup>przebiegała</sup> wzdłuż rz. Skawy. Każdy dzień przynosił niepewność dalszego losu...

Mnożyły się represje w stosunku do ludności polskiej - aresztowania, coraz częściej słyszało się o egzekucjach i wysiedlaniu...

Kto nie podpisał "Volkslisty" - nie poszedł na współpracę z okupantem był świadomy tego - że może spotkać go najgorsze...

Już w jesieni 1940 r.- Niemcy - oczywiście zawsze uzbrojeni po "zęby" chodzili po mieszkaniach i dokonywali dokładnego spisu - pomieszczeń - inwentarza itp... Początkowo nie orientowaliśmy się w sytuacji - ale później zaczęto mówić coraz częściej o wysiedlaniu...

Nie chcieliśmy w to wierzyć - jak każdy człowiek mający jakąś iskierkę nadziei nie chce wierzyć w ostateczną klęskę - w to najgorsze. Wysiedlenie. Grudzień 1940 r.- dzień : między 8 a 10 grudnia. / dokładnie nie pamiętam.

Już dnia poprzedniego wieczorem - dowiedziałam się w przyjaciół w Wadowicach - że jesteśmy na liście do wysiedlenia. Już ludzie wiedzieli.

Noc była nie nasza. Nie spaliśmy - zresztą nie tylko my. Sąsiedzi odwiedzali się wzajemnie - jakby w ostatnim pożegnaniu. Straszna jest taka niepewność - to oczekiwanie złego.

Nazajutrz - wczesnie , gdzieś koło godz. 6-tej - zadudniało na szosie - ze zgrzytem pędziły samochody ciężarowe , jeden, drugi... piąty... i więcej. Przejechali. Odetchnęliśmy . Może nie będą nas wysiedlać ?.. Nie minęła jednak godzina - jak szedł wśród ludności złowrogi pomruk... wysiedlają , zaczęli od górnej Choczni - a my mieszkaliśmy tuż przy granicy Choczni - Wadowice .

żandarmeria V  
 Nie będę opisywać tego momentu - gdy Niemcy /SS/ weszli do naszego domu nie czas i miejscem na to - takie wspomnienia wymagają obszerniejszego opisu...

Nie wolno nam nic zabrać - tylko tyle co do tobołka. Nie wolno do walizki. Ma wszystko pozostać tak - jak jest. Już na nasze miejsca czekają Ukraińcy Niemcy / z ziem zajętych przez Rosję /.

Rewizja osobista . Mamie zabierają pieniądze - kilkaset marek /~~określenie~~ /~~800~~ /- ja miałam zaszyte w płaszczu 200 marek - udało się , po to by mi je Niemcy odebrali w obozie / rewizja osobista przeprowadzana przez Niemki - te Niemki były o wiele gorsze od Niemców .../

Wypędzają nas z domu - Mama - S. Renia i ja - brat Janek wcześniej zabrany - na roboty do Wądrobna - prawdopodobnie do Wrocławia - / gdy dowiedział się o wysiedlaniu nas ucieka - i ukrywa się początkowo u krewnych w Wadowicach - a później przerzucony przez zieloną granicę w Barwałdzie - gdzie później znów depte mu po piętach gestapo.

Idzie korowód wygnanców - niemowlęta na rękach matek, dzieci, starcy kobiety i trochę tej młodzieży - co nie zdążyła wcześniej uciec lub ukryć się... Idą konwojowani przez karabinierów hitlerowskich ... - idą długim - ciężkim korowodem - przypomina mi się.. jak kibitki na Sybir... Zostawili za sobą dorobek całego życia - a czy zdołają jeszcze uratować życie ?... któż to wie...

Jeszcze dziś - po tylu latach - mam przed oczyma ten posępny konwój - jak wiele innych plastycznych wspomnień z dramatycznych przeżyć okresu okupacji.

Powojenne filmy z męczeństwa narodu polskiego - te konwoje więźniów do obozów koncentracyjnych i pieców krematoryjnych - te łapanki - aresztowania i ucieczki... przywodzą mi przed oczy widok tamtych dni.

Na placu -gdzieś k/Remizy<sup>w Choczni/</sup> - tłum wysiedlonych. Ładują nas na samochody ciężarowe. Niemcy popychają - częstują kolbami karabinów gdy ktoś nie może wyjść na platformę. Stłoczeni w samochodzie - milczymy.

Bo cóż tu można mówić ?.. Słysząc czyjś gwałtowny szloch - ludzka udziela się płaczą - ale już w skrytości by Niemcy nie widzieli...

Najgorszy z tego - to płacz dzieci i krzyk niemowląt. Samochody ruszają w kierunku Wadowic.

Chciałam jeszcze raz spojrzeć na nasz dom-. Przez szparę w planicie

9  
8:=-  
usiłuję spojrzeć po raz ostatni na mój rodzinny dom. Udaje się.-  
z okna szczytowego strychu - zwisa ogromna swastyka... Jeszcze sta-  
ram się objąć wzrokiem dwa prawie pięćsetletnie modrzewie rosnące  
przed frontem n/domu i opustoszałe na ich szczycie gniazda bocianie.  
Jesteśmy już zamknięci w obozie w Wadowicach w budynku szkoły podsta-  
stawowej i Seminarium Nauczycielskiego - u wylotu Ałei prowadzącej  
na stację kolejową PKP.

Tu składałam egzamin wstępny do szkoły średniej tu otrzymałam  
dyplom maturalny... to było nie tak dawno - by nie pamiętać - że  
piękny -wymarzony w snach młodzienczych świat - rozpadł się w gruzy..  
Ale już wtenczas wierzyliśmy - że tak nie pozostanie , że tak nie  
może pozostać... Wprawdzie jak narazie - mroki nocy okupacji stawały  
się coraz straszliwsze - ale im groźniejsze fale w nas uderzały -  
im granice wytrzymałości stawały się napięte do ostateczności -  
przychodziły nagle - jak promień słońca przezierający z pod ciężkich  
ołowianych - złowróżebnych chmur - myśli, tak nie może być zawsze,  
to kiedyś musi się skończyć... Ale kiedy ... jeszcze wiele trzeba  
było przeżyć - przecierpieć i zrobić, by takiego dnia się doczekać.  
Obóz - tysiące ludzi tłoczących się w korytarzach i salach szkol-  
nych . Wysiedlenie w tym czasie objęło więcej miejscowości- wiosek  
w powiecie wadowickim - i chyba częściowo graniczących z powiatem  
wadowickim.

Smród - zaduch - płacz dzieci i jęki chorych / tych ostatnich było  
już coraz więcej/.

Zepsuta kanalizacja i wodociągi. Woda zalewa korytarze.

W salach szkolnych stłoczeni wygnancy... chyba po 200 osób. Tłok,  
Na podłodze porozrzucana słoma - to legowiska dla nas na czas  
pobytu w obozie.

Siedzimy na ziemi stłoczeni, z moją siostrą Renią jest coraz gorzej.  
Już z bólem gardła i gorączką była wysiedlona. Jest b. wążka i bar-  
dzo boimy się o jej zdrowie i życie. Nie ma lekartw. Do naszego  
oboju jest przydzielony lekarz - Polak, mówią że jest wysiedlony  
gdzieś z pod Cieszyna - ale nie wiem czy ta informacja o miejscu  
jego wysiedlenia jest prawdziwa , a może to z naszych ziem obecnie  
objętych wysiedlaniem. Lekarz ten to człowiek b. zacny. Ratuje jak  
może chorych - ale jest bezradny , nie ma lekartw. Uzyskuje dla  
mnie przepustkę z oboju do miasta do apteki. Wychodzę. Jestem na  
wolności - rozglądam się z lękiem dokoła. Ludzie wydają mi się obcy.  
Czy to miasto - gdzie mam - miałam tylu przyjaciół - gdzie spędziłam  
najszcześniejsze lata młodości?-... Nagła myśl - mogłabym uciec ... ale  
nie niemożę . Tam moja Mama , siostra chora czeka na lekarstwa i inni  
chorzy... W aptece znajomej realizuję recepty - Znajomy farmaceuta  
spogląda na mnie jakby z zażenowaniem i obawą - ach to pani stamtąd!

Tak - stamtąd. Przykre niepokojące milczenie... i już żadnych pytań więcej. Zrozumiałam - ludzie jeszcze na wolności bali się... panicznie się bali.

W obozie nie było wody - jak już wspomniałam zepsute wodociągi - nie mówiąc już o wodzie ciepłej. O jakimkolwiek umyciu się nie mogło być mowy. Ale co robić z niemowlętami?... trzeba ich przecież jakoś ratować - zanim śmierć wśród nich nie rozgości się...

Nasz lekarz / szkoda że nazwiska nie pamiętam / - wynalazł sposób - dzieci będziemy nacierać oliwą ... skąd miał oliwę?... Byłam do lekarza przydzielona jako pomoc sanitarna - załatwił to dla mnie.

Codziennie godzinami nacierałam - masowałam ciała niemowląt - wcierałam oliwę w skórę aby uodpornić organizm - zabezpieczyć przed odparzeniami i infekcją. Ręce mi mdlały - ale cieszyłam się, że chociaż w małym stopniu mogę przyczynić się do uratowania im życia.. Czy dalej przeżyły - nie wiem, bo było nam wiadomo - że w czasie transportu - dalszego naszego konwoju kolejną - marły niemowlęta z zimą, głodu, braku napoju ... ale o tym później.

W obozie przeprowadzano rewizje osobiste. Niemcy - zdaje się że to była żandarmerja gestapo / tak wtenczas mówiono / - szukali ukrytej biżuterii i pieniędzy... Rewizje osobiste które przeprowadzamy Niemki / rewizje kobiet / - były szczególnie brutalne i cyniczne. Wydawało mi się wówczas że w tych sytuacjach wykazywały więcej okrucieństwa i nienawiści od Niemców.

Cały obóz był otoczony Niemcami - uzbrojonymi "po zęby" - karabiny maszynowe zwrócone w kierunku tłumu ludzi - którzy gromadzili się wokół ogrodzenia szkolnego - by jeszcze zobaczyć krewnych i znajomych - byli i tacy którzy nikogo nie mieli w obozie... A nuż uda się przekazać jakąś wiadomość. W tej sytuacji - z tej "drugiej strony" dowiadujemy się, że brat Janek przyjechał do Wadowic / ucieka z robót / i ukrywa się u dalekich krewnych niedaleko rz. Skawy.

Minęło kilka dni - Niemcy zdążyli nas już porejestrować i ponumerować - mamy nr 3. W obozie zaczął się ruch. Zaczęto wywozić pierwsze transporty wygnanców w kierunku niewiadomym... I tak co parę dni nowy transport. Później dowiedzieliśmy się - że te transporty kierowano w lubelskie.

Jedziemy chyba ostatnim transportem, Nasz lekarz jedzie z nami. Dwa tygodnie w obozie - a może trochę dłużej. I co dalej i gdzie?... Konwojują nas na stację kolejową - wygnancy sponiewierani wg. "nadludzi" nie ludzie...

Jest grudzień - zima, mróz, śnieg prawie do pół łydek. Rano. Na stacji czekamy na pociąg około 5-ciu godzin. Kostniejemy i jakoś zaczyna nam wszystko obojętnieć - w tym momencie jest nam już wszystko jedno...

Podstawiają pociąg. Niemcy wpychają nas do wagonów. Jesteśmy stłoczeni - skuleni. Ogrzewamy się przez własne wydechy i ciasnotę.

Siostra moja Renia - która w obozie miała silną infekcję gardła jakoś wyszła z tej choroby i zaczyna przychodzić do siebie - ale nie jest jeszcze zdrowa i b. osłabiona. Boże! co to będzie dalej. Wagony nieopalanymroźno. Mamy trochę suchego prowiantu - ~~zadnego~~ <sup>trochę</sup> picia. Jak to wszystko długo potrwa i dokąd nas zawiozą?... Złorzeczenia pod adresem Niemców nie milkną... Drzwi wejściowe zabarykadowane. Przy każdym 2-ch Niemców z karabinami. Milczą. Nie wiem czy rozumieją po polsku - czy słyszą to pada pod ich adresem - ale nie reagują na nic, widzą jednak tą zrozpaczoną, groźną i doprowadzoną do ostateczności masę ludzką,...

Jeszcze muszę nadmienić - że w drodze na stację kolejową - gdy wycieńczeni znękani i niejednokrotnie chorzy wysiedleńcy szli potykając się - Niemcy walili kolbami karabinów ślaniających się nieszczęsnych - gdzie popadło. Mojej biednej Mamie też się to dostało gdy upadła na drodze.

Pociąg dyszy... sapie jakby nie mógł ruszyć z miejsca.

Wreszcie rusza - ale tak powoli jedzie jakby ~~znów~~ znów chciał się zatrzymać... Jedzie w takim tempie - że kilkuletnie dziecko mogłoby iść z nim w zawody... Chyba ten pociąg prowadzi polski maszynista...

Po chwili orientujemy się że jedziemy w stronę Bielska - a więc przez Śląsk - pewnie w głąb Rzeszy - do obozów - myślimy głośno.

Staramy się otworzyć okna i jeszcze raz zobaczyć naszą rodzinną ziemię. I co to?... Oczom naszym przedstawia się widok - którego chyba nikt z nas wysiedlonych nie zapomniał i nie zapomni do ostatnich swoich dni...

Wzdłuż toru kolejowego - jak okiem sięgnąć stali gęsto ludzie - całe procesje z chorągwiami, ze sztandarami, obrazami kościelnymi - księża z Krzyżami wysoko wzniesionymi w górę. / Same Wadowice nie były wysiedlone - a jeżeli chodzi o Chocznę to wysiedlili jedną stronę wzdłuż szosy - i tak było chyba też z innymi miejscowościami /-

Ludzie wyciągają ręce w naszą stronę - płaczą, śpiewają... Kto się w Opiekę.... Jeszcze dziś stoi mi przed oczyma ten starzec - z rozwianymi włosami i rękami wzniesionymi w górę - jak Wernyhora - który wołał donośnym i drżącym głosem: "Niech Ta co Jasnej broni Częstochowy... pozwoli Wam wkrótce powrócić do domów rodzinnych"... Jeszcze Polska nie zginęła... Piszę tak jak było - prawdę nie ubraną - ale rzeczywistą. Żyjają jeszcze i na pewno żyją ludzie którzy przeżyli i pamiętają tamte chwile. Były to dla nas wygnañców ~~na~~ mocne przeżycia które - chociaż na krótko - ale dodawały nam otuchy. Ten śpiew ludzi przy torach podjęli wygnañcy w pociągu. Śpiewamy - to nas podnosi na duchu.

Mijamy powoli Chocznę. Morze swastyk. W dali widzę nasz dom i te dwa pochylone wierzchołkami - jakby w ostatnim pożegnaniu - modrzewie... Jedziemy nadal b. powoli. Wzdłuż toru ciągle ludzie.. i tak było aż poza Kęty - do miejscowości Kozy - na przestrzeni około 30 km.

A dalej - już wjeżdżamy na Śląsk - zaraz daje się zauważyć że to serce Polski - tu już przestało bić... pozostało za nami. Niemcy tu czuli się

już całkowicie panami...

/dokonczenie tej strony do kolejnej/  
do kartki str. 10-tej



/dopisek do str. 10-tej u dołu/

Pociąg jedzie coraz szybciej i już jakby całkiem normalnie. Mijamy jakieś stacje - słycać krzyki , nawoływania- wszystko po niemiecku. Nie wiemy gdzie jesteśmy. Gdy postój na stacji - nie wolno nam wysiąść. Drzwi wejściowe stale zabarykadowane Niemcami - ale i pociąg wysiadać?... I tak dzień po .. / dalszy ciąg str. 11/

dniu... Tracimy rachubę czasu. Wiemy, że mija tydzień... Co będzie dalej... Dokąd nas wiozą...? Najgorsze przeczucia nie opuszczają nas... Suchy prowiant który mieliśmy z sobą już się kończył. Na postojach - stacjach nie dostajemy nic ani do jedzenia ani do picia. Ciągłe wiozą nas dalej przez jakieś obce nieznane ziemie. Słyszemy, że umierają niemowlęta i małe dzieci. I znów tracimy wszelką nadzieję. Jest dużo chorych. Kaszlą niebezpiecznie - ja sama należę do jednych z nich. Biedna Mama już nawet nie ociera łez rozpaczy... Mróz, nieopalone wagony, zamrożnięte okna... są już widoczne skutki tej tragedii transportowej.

Można mi wierzyć albo nie - ale na to już nie mam wpływu - instyktownie czujemy - że gdzieś blisko nas czai się... śmierć. W tej grozie całkowitej bezsilności i rozpaczy ludzie padają na kolana .... korzą się... Przed Oczy Twoje Panie... rozbrzmiewa w żalnym szlochu śpiew tułaczy ... Koszmar nocy okupacji. Nie ma tu miejsca na opisanie stanu psychicznego wygnańców ... kto tego nie przeżył - nigdy nie uwierzy. Jęk modlitewny umęczonego narodu... ale wtenczas... Bóg był gdzieś bardzo daleko - albo zajęty innymi sprawami i nie słyszał jęku tej modlitwy... To nie bluźnierstwo, ale są ~~zn~~ takie chwile w życiu gdzie kiedy gęsta - nie do przebicia mgła - osłania człowieka - gdy już nie widzi się znikąd ratunku ani nadziei...

Pociąg zatrzymuje się - stacja. Stoimy parę minut zdezorientowani gdzie jesteśmy. Przez zamrożnięte okno - ściślej odchuchaną szparkę usiłuję odczytać nazwę stacji - początkowo ~~to~~ nieudaje mi się - Ł ó d ź - słyszę obok. Pierwszy raz od kilku dni zorganizowana pomoc - ~~ada~~ daje się że PCK. Do dziś nie wiem - ale myślę i wnioskuje na podstawie obserwacji towarzyszy - wygnańców, że nasz transport jechał mocno okrężną drogą przez dawne tereny niemieckie - zanim dotarł do Łodzi.../

Podają coś ciepłego do picia - prawdopodobnie mleko - ale tylko dla całkiem małych dzieci. Dają się słyszeć głosy - że wnoszą ciałka nieżywych niemowląt - im już tej "pomocy" nie trzeba - komentujemy. Informacje te powtarzały się coraz częściej w czasie naszego transportu jak również po wyładowaniu nas. ✕

W Łodzi stoimy 2 dni... widocznie nadal nie wiedzą co z nami zrobić gdzie nas skierować... a później znów jedziemy dalej... w nieznane. I tak mija dzień noc i znów dzień .

W mroźną - pogodną usianą milionami gwiazd noc pociąg zatrzymuje się na jakiejś stacji. Jak się okazało do-celowej.

Wysiadać !- To Jędrzejów.

Jest <sup>już</sup> styczeń 1941 r.-

Tu- na stacji kolejowej ~~na~~ była zorganizowana dla nas pomoc / ciepłe ~~jedzenie~~ jedzenie i picie - po przeszło 10-ciu dniach jazdy /- przez... poznaniaków - wysiedleńców tak samo jak my - tylko wcześniejszych. Wielkie serca tych - co w tej chwili nie mieli więcej niż my- ale nosili w sobie ten brzemienisty bagaż tragedii dłużej od nas. Rozumieli nas



i podali pomocną dłoń przyjaźni ze słowami nadziei...

Furmankami wiozą nas do okolicznych wiosek. Chcemy być jak najbliżej Krakowa. Nie mamy zamiaru zatrzymać się tu na dłużej. Ciągłe myślimy o Janku - jemu teraz trzeba pomóc.

Mamy przydział do gospodarza - podobno zamożnego. Jeżeli takie warunki można nazwać zamożnością. Duża izba z przypieckiem - podłoga-klepisko z gliny a obok mała sionka-komórka. W tej dużej izbie mieszka rodzina gospodarza, kilka osób a w tej chwili my i jeszcze kilka rodzin wysiedlonych. Gospodarze współczują nam - ale odrazu widać że nie są zachwyceni naszą obecnością. Nie dziwimy się temu wcale.

Rzucili nam na podłogę wiązkę słomy. Leżymy przytuleni do siebie: Mama, Renia i ja. Nasze legowisko jest tuż przy drzwiach wejściowych - wieje niemiłosiernie. Płaczę - gorzko płaczę prawie przez całą noc... Mama jak może przytula mnie do siebie - obejmuje, głaszcze ale nic nie mówi - bo cóż biedna może powiedzieć...  
RUCHA-HALINA

Co my w tej biedzie będziemy robić. Bez uprzedzenia w gminie / za wyjątkiem naszego gospodarza / - po kilku dniach naszego pobytu w tej wiosce - która zdaje mi się że nazywała się Raków / nie jestem pewna / wyruszamy już samotnie na dalszą wędrówkę - i to z powrotem w okolicę Wadowic do Barwałdu / już GG / - do rodziny mojej Mamy. Zanim jednak wyjechaliśmy stamtąd - przyjechała do nas moja siostra z Olkusa gdzie mieszkała z mężem - / Olkusz był też przyłączony do Reichu / Dowiedziała się o naszym wysiedleniu - i i jakimś cudem czy sprytem - dokąd właśnie nasz transport skierowano / transportów było kilka i część wygnaców skierowano w lubelskie a część w kieleckie / - Ta nasza "ucieczka" udała się ... z ulgą dla tamtejszej ludności kielecczycy - biednej i obciążonej dodatkowym ciężarem utrzymywania wysiedlonych. Sami nie bardzo mieli co jeść.

Jak już zaznaczyłam - nie jestem pewna nazwy wioski do której nas skierowano - ale nie wydaje mi się to takie ważne - faktem jest że musiało to być gdzieś zarejestrowane,

W Barwałdzie zamieszkaliśmy u krewnych mojej mamy - za łaskiem - tam , gdzie znaleźliśmy się chwilowo w czasie naszej ucieczki w pierwszych dniach wojny. .. Byliśmy u krewnych " na łaskawym chlebie" ...

Mama przez całą okupację tam pozostała i pracowała ciężko fizycznie. Ja po krótkim pobyciu wyleczeniu się / z ostrego zapalenia płuc / wyruszyłam z wiosną za chlebem. Znalazłam się w Krakowie dokąd nieco później po otrzymaniu zajęcia zabrałam moją siostrę Renię. Nie mogłam znekanej wojną i niemłodej już Matki narażać na utrzymanie siostry - tym bardziej że nie było tam warunków dla dziecka - co 11-to letnie dziecko mogło tam robić..? Wątła, nie nadawała się do fizycznej pracy i to ciężkiej... W Krakowie z uwagi na brak odpowiedniego mieszkania i późniejsze <sup>moje</sup> całodzienne warunki pracy też nie mogła dłużej ze mną

wobec czego zmuszana byłam umieścić ją w internacie u sióstr Nazaretanek - oczywiście na koszt opieki społecznej - było tam więcej takich dzieci - był to jakby odpowiednik dzisiejszego domu dziecka.

Brata mojego przerzucano przez zieloną granicę- nb. przez rz. Skawę w Wadowicach- która to rzeka oddzielała ówczesny Reich od GG.

Zamieszkał nie z Mamą ale u drugiej siostry mojej Mamy też w Barwałdzie tylko Górnym- bliżej Kalwarii- wspominam o tym dlatego, że będzie to miało związek z jego późniejszym losem jak również i z moimi przeżyciami.

Niedługo po przybyciu do Krakowa - przypadkowo- a właściwie to szczęśliwym zbiegiem okoliczności- spotkałam b. nauczycielkę szkoły podstawowej z Wadowic- która znała doskonale dzieje naszego wysiedlenia - gdyż była w naszym obozie w Wadowicach - w szkole, w Komitecie pomocy dla nas wysiedlonych. Dowiedziawszy się odemnie dalszych losów mojej rodziny - poleciła mi zgłosić się do biura Opieki Społecznej dając do kogoś - kogo już absolutnie nie pamiętam- karteczkę polecającą, obiecując jednocześnie porozmawiać z kimś - kto ułatwi mi podjęcie pracy w opiece społecznej oraz umożliwi zakwaterowanie mnie w domu opieki społecznej dla wysiedlonych i uchodźców. Muszę jeszcze zaznaczyć - że nauczycielka ta to .P. Medwecka - działaczka harcerska na terenie Wadowic.

Otrzymałam zaraz / po zgłoszeniu się do Opieki Społecznej/ - zakwaterowanie w domu opieki społ., dla wysiedlonych i uchodźców - przy ul. Stradom 27- gdzie dano mi również <sup>nieco później/</sup> chwilowe zajęcie z-cy kier. tego domu - oczywiście za pewnym wynagrodzeniem miesięcznym - takim jakie obowiązywały dla Polaków za okupacji. Dom a raczej pomieszczenia dla wysiedlonych po pewnym czasie został zlikwidowany - a mieszkańcy umieszczeni w innych pomieszczeniach - m.i. ja <sup>ale jeszcze wcześniej/</sup> zostałam dokwaterowana do mieszkającej już osoby - której przedtem nie znałam- do pokoju przy ul. Stradom 5 I. P. - Mieszkanie to było finansowane również przez opiekę społeczną. Moja współlokatorka - to p. Irena Lewicka - jak się dowiedziałam pochodzi z Dębicy - nauczycielka - też zakonspirowana harcerka o czym nie wiedziałyśmy obie przez cały okres wspólnego zamieszkiwania - dopiero lista harcerzek Górnego Śląska - którą przeglądałam już długo po zakończeniu wojny - uświadomiła mnie w tym. Ona też chyba o mnie nic nie wiedziała...

Po zlikwidowaniu wspomnianego domu - zostałam przeniesiona do biura Opieki Społecznej przy ul. Starowiślnej / było kilka oddziałów /- następnie na krótko do Wydziału Zdrowia przy Pl. św. Ducha - skąd przeniesiono mnie biura przepustek nocnych i kolejowych .w tzw. wówczas "Polizeipräsidium"- gdzie pracowałam do końca wojny. Nie wiem na czyje polecenie zostałam tam przeniesiona - ale wydaje mi się że było to celowe "przeniesienie"...

W wydziale Opieki Społecznej - gdziekolwiek pracowałam - jak również w dziale przepustek i biurze meldunkowym przy ul. Kapucyńskiej 2 - oba te działy mieściły się obok siebie na I piętrze - pracowali-jako szarzy pracownicy - prawie sami Polacy -kierownictwo było oczywiście niemieckie i jeszcze zawsze jakaś wtyczka jeden niemiecki pracownik - jeżeli młody-to ułomny- niezdolny do służby wojskowej .W dziale przepustek - kierownikiem był kulejący na jedną nogę stolarz z Wrocławia -niemiec i dorzucony " konfident " - Konfidenta wyczuliśmy zaraz - zresztą nie było to takie trudne gdyż kierownik - niemiec pewnego dnia sam się z tym wygadał - żartobliwie nas ostrzegając... Trzeba się było mieć na baczności.

Jak zaznaczyłam w biurach tych pracowali przeważnie Polacy.Działała tu konspiracja i to na dużą skalę - bo i możliwości ~~sta~~ pomocy dla Rpdaków znaczne- Oczywiście trzeba było zachować maximum ostrożności, bystrej obserwacji i zimnej krwi oraz wykazać się sprytem w pewnych sprawach.

Stale załatwiałam przepus<sup>14.-</sup>tki na Montelupich w celach pomocy więźniom. Muszę zaznaczyć, że zanim zaczęłam pracować w Opiece Społecznej - zgłosiłam się do pomocy w Sekcji Opieki nad więźniami i ich rodzinami przy ul.Kanoniczej 18. Kto mnie tam skierował...? O ile pamiętam-gdy jeszcze nie pracowałam a nie miałam z czego żyć - polecono mnie do kuchni którą prowadziły ss. Urszulanki -właśnie na parterze domu przy ul.Kanoniczej, tam gdzie na I piętrze mieściły się biura i magazyny Komitetu Opieki nad Więźniami. Dzieje moje zainteresowały siostrę Urszulankę - która prowadziła kuchnię właśnie dla takich sponiewieranych istot jak ja - a ponieważ <sup>jeszcze</sup> przed wojną-przez 2 lata uczęszczałam na studium katechetyczne - którego pomieszczenia znajdowały się w gmachu ss Urszulanek przy ul.Starowiślnej - znalazłyśmy wspólny język- a Siostra ta znała P. Zazulową -- prezeskę Opieki nad więźniami- więc poleciła mnie do pomocy przy pakowaniu paczek dla więźniów. Tam poznałam niezapomianą dla mnie i zawsze pełną serdeczności i pomocy dla nieszczęśliwych P.-Zazulową no i Lilkę Kuśnierzewską... a później - nieco później, Jankę Kotecką z którą spotykamy się do dziś i z którą chyba mogę tu powiedzieć łączy mnie wieloletnia przyjaźń... Zaznaczam, że posiadam oryginalne zaświadczenie z mojej pracy - raczej współpracy - w Patronacie Opieki nad więźniami - wydane tuż po zakończeniu wojny - i podpisane przez Panią Zazulową. Wracam do przepustek.Wprawdzie przepustki na Montelupich wydawane były oficjalnie jeden raz w tygodniu - ale często zdarzało się, że trzeba było nagle - nie w oznaczonym dniu dostać się na Montelupich- a więc po prostu mieć przepustkę.No więc starało się o te przepustki. Muszę zaznaczyć, że podpisujący przepustki niemiec- dyr.działu:Bauer- przy tych przepustkach zachowywał się zawsze w sposób agresywny- reagując ostro w sposób b. nieprzychylny - wiadomo więźniowie poli-

tyczni, ale jakoś zawsze udało się zdobyć podpisanie tych przepustek. Chciałabym w jakiś sposób zobrazować - naświetlić przebieg naszej pracy przy przepustkach. Było nas do tej pracy kilka. Przyjmowałyśmy wnioski i na ich podstawie należało wystawić przepustkę lub odrzucić. Były przepustki - których nie odrzucało się nigdy - musiało się wszystko zrobić i tak zasugerować dyrektora by podpisał albo niezauważył że wniosek jest niewłaściwy. Czyste blankiety przepustek wypełniałyśmy same podając do podpisu.

Gdy chodziło o wystawienie przepustek nieprawie to zn, lewych - zawsze dawałyśmy do podpisu cały stos przepustek - między którymi były i te lewe - Zwykle był b. "zajęty" - i nie miał czasu - stos przepustek do podpisu i przeglądanie każdego wniosku było pracochłonne - spieszył się i podpisywał automatycznie - gdyby wiedział co nieraz podpisuje... smutnie by się to dla nas skoczyło.

Pojedyncze przepustki do podpisu i po kilka - dawałyśmy tylko wtenczas - gdy nie budziły żadnych zastrzeżeń - z taki<sup>mi</sup> przepustkami można było iść wtenczas do podpisu gdy "szef" miał humor - z tymi m.in. lewymi tylko gdy był we wspaniałym nastroju - co ostatnio zdarzało mu się coraz rzadziej zwłaszcza gdy zbliżał się front rosyjski - to było dla niego jak czerwona płachta na byka...

nocne i kolejowe /  
W opisany wyżej sposób zdobywało się przepustki dla ludzi nie mających żadnych podstaw do ich uzyskania - a ze względów specjalnych tajnych-konspiracyjnych pracy musieli takie przepustki posiadać... Szło się z plikiem takich przepustek - upewniwszy się uprzednio o humorze naszego "pana i władcy" - i z miłym uśmiechem zagadując uprzejmie po polsku. Na marginesie zaznaczam, że mówił świetnie po polsku - gdyż jak szła fama - był podobno w okresie międzywojennym jakimś kierownikiem ~~ex~~ czy nawet dyrektorem w więzieniu św. Michała w Krakowie - oczywiście chyba jako Polak...

Osobny rozdział to przepustki nocne dla lekarzy. Załatwiałam je masowo. A nie muszę przypominać jako rolę spełniali o odegrali lekarze-Polacy w czasie okupacji. Pracowali w szpitalach - leczyli partyzantów i konspiratorów wiedząc o tym - zawsze z narażeniem życia...

Należy zaznaczyć i to na korzyść konspiracji harcerstwa Śląskiego - działającego w Krakowie i wogóle tej konspiracji że wszystko odbywało w jaknajwiększej tajemnicy i niebywałej ostróżności.

W dziale przepustek - już w okresie późniejszym wyrabiano się również zwolnienia od okopów... to już było w ostatnich miesiącach przed wkroczeniem wojsk radzieckich do Krakowa. Niemcy chcieli sparaliżować ruch Oporu w mieście... Na całe dni wywozili wszystkich kto nie miał zwolnienia od pracy przy kopaniu okopów - a kto tylko mógł utrzymać łopatę w dłoni - do kopania okopów nad rz. Rabą - gdzieś koło Bochni.

Oczywiście - kopanie rowów było tylko pretekstem - bo jakąż przeszkodę dla zbliżających się wojsk radzieckich mogły stanowić takie okopy - w dobie mechanizacji - motoryzacji sprzętu wojskowego. Chodziło tu o unieszkodliwienie - sparaliżowanie społeczeństwa polskiego zwłaszcza tej grupy zdanej do oporu przed podejmowaniem jakichkolwiek akcji przeciw okupantowi i to jeszcze w czasie cofania się albo już ucieczki armii niemieckiej pod naporem wojsk radzieckich na wschodzie - sypanie rowów było również - jak się wydawało Niemcom - wymierzone przeciw szerzeniu się informacji o stanie działań wojennych tak na wschodzie jak i na zachodzie - jednym słowem chodziło o niedopuszczenie do zbrojnych działań Polaków przeciw okupantowi. Należy jeszcze zaznaczyć, że "na okopach" - była obficie rozdzielana ~~wódka~~ wódka - to była "zapłata" - za kopanie rowów. Było to szczególnie niebezpieczne - to rozpijanie Polaków - zwłaszcza zwłaszcza że do okopów zabierali ~~prze- waznie~~ ludzie młodych... rzadko kto z młodych nie został okjety "tą akcją" - chyba że zwiął - albo był dobrze zadekowany i obwarowany, co było koniecznością podtrzymania ruchu oporu w mieście. Ale nie udało się Niemcom zdeprawować społeczeństwa wódką. Wódkę owszem brano... ale specjalnie nie upijano się... Natomiast - pożałujcie - jak wyglądało kopanie tych okopów - i tu jak wszędzie Polacy potrafili uspić czujność Niemców... Na okopach też czytało się ulotki i przekazywało informacje wojenne i polityczne - mówiło się konspiracyjnie o ruchach wojsk alianckich - o tym gdzie na świecie walczą Polacy - co zostało zdobyte, gdzie znajdują się w marszu wojska radzieckie itp... dodawano sobie wzajemnie otuchy byle nie dać się... Opisuję to z własnego doświadczenia - bo też musiałam jeździć na okopy - nie zawsze udało mi się uzyskać zwolnienie od okopów - zwłaszcza gdy w ostatnim okresie nie pomagały już zwolnienia lekarskie. Były to ciężkie chwile - zima... To tak dawno było ~~aż~~ się wydaje że wczoraj - tak to pamiętam jak i wiele innych akcji... W okresie gdy trwała "akcja okopów" - ulice miasta /Krakowa/ były dosłownie wyludnione z ludzi młodych i tych średniego pokolenia. Ci nie wyjeżdżali na okopy - nie pokazywali się na ulicy - a jeżeli to robili to w największej ostrożności by nie wpaść w ręce żandarmów. Zwłaszcza wieczorem było szczególnie niebezpiecznie przechodzić ulicami miasta. Policja, jak zawsze w systemie trójkowym legitymowała każdego przechodnia - nieraz i zwolnienie z okopów nie pomagała. Sama raz wpadłam w taką pułapkę na Plantach - tuż u wylotu ul. Sarego / już wtenczas mieszkałam przy ul. Bogusławskiego 4 - po całkowitym okradzeniu mnie na poprzednim mieszkaniu - miałam wtenczas zwolnienie od okopów ale to nie pomagało - dopiero przepustka nocna którą posiadałam uratowała mnie - a przecież nie było jeszcze godziny policyjnej... Stąd miasto wyglądało jak umarłe - zwłaszcza wieczorem - ale to tylko pozornie.

Wracam do biura w dziale przepustek.

Były maszyny do pisania. To bardzo ułatwiało nam pracę konspiracyjną. Pracowałam stale przy maszynie do pisania/n.b. tam nauczyłam się pisać na maszynie co w tamtym czasie było b. pomocne - jak również przydało się po wojnie./

Na maszynie przepisywało się ulotki - wiersze - krótkie komunikaty do Polaków pracujących w całym tzw. "Polizeipräsidentium" - wszystko ściśle tajne. Należy zaznaczyć - że Niemcy szukali właśnie w tym biurze zbliżenia z Polakami - dla zmanifestowania lojalności czy może chodziło im o coś innego. Wszelkie próby zmuszania Polaków do brania udziału np. koncertach niemieckich - groźby odprowadzenia na koncert pod "karabinami" - jak nam oświadczył dyr. działu - Niemiec - urządzenie wspólnej tzw. "herbatki" z Niemcami - nie odniosły rezultatu a a zastraszanie nas wzmogło jeszcze naszą czujność i pracę konspiracyjną. Muszę jeszcze dodać, że w tym ostatnim przypadku "herbatki" stanowcza postawa Polaków i kategoryczna odmowa mogła mieć tragiczny dla nas finał. Relacji z tego prawie dramatycznego przebiegu proponowania nam tej "herbatki" - nie będą tu opisywać - gdyż to wymaga obszernego opisu i podania szeregu okoliczności które tej propozycji towarzyszyły. Nadmienię tylko - że Niemcy taką propozycję podali nam na piśmie - zaznaczając termin odpowiedzi. Odpowiedź nasza była absolutnie negatywna.

Jakoś nikomu z Niemców nie przyszło na myśl co się dzieje <sup>w tym</sup> w biurze. Oczywiście "robiło się to" - jak już zaznaczyłam - przy zachowaniu maximum ostrożności - w milczeniu bez jakichkolwiek zbędnych rozmów na ten temat.

Nie mogę w tych wspomnieniach - pominąć sprawy bardzo istotnej dla Polaków i konspiracji - pracy działu meldunkowego znajdującego się na tym samym piętrze co dział przepustek - zaraz obok naszego działu. Dyrektor Niemiec był jeden /Bauer/ dla działu przepustek i meldunkowego. Chyba tutaj nie pomyliłam się - gdyż jak pamiętam tak o tym mówiło. Zresztą nie sądzę by to było tak ważne. Ważni wtenczas byli Polscy pracownicy w tych 2-ach biurach i ich możliwości wykorzystania wszelkich sytuacji w niesieniu pomocy Polakom.

Pracujący w dziale meldunkowym Polacy - przeważnie kobiety chociaż trafiali się też mężczyźni - z którymi łączyło nas wspólne zaufanie i więzi ze sprawami Polski - wiele mogli zdziałać i niejedno życie ludzkie uratować.

Dobrze pamiętam dzień - było to przed południem - kiedy jedna z koleżanek naszego działu - podeszła do mnie i szeptem poleciła bym wyszła na korytarz i przyjrzała się mężczyźnie siedzącemu na ławce - określiła przy tym jak wygląda... Miałam swobodnie przejść do toalety nie zwracając zbytnej uwagi na nikogo. ~~Jakiś był tam jakiś człowiek~~ Sprawa była była ważna - człowiek ten współpracował z Niemcami - tak mi oświadczo-

Wyszłam . Siedział na ławce szczupły - ciemny cywil z twarzą którą osłaniała cień korytarza. Usiłowałam nie okazać żadnego zdziwienia - znałam tego człowieka pochodził z moich rodzinnych stron - a w okresie międzywojennym służył w granatowej policji jako tajniak - Więc to tak. Zadanie miałam ułatwione. Wróciłam do pokoju i zrelacjonowałam swoje oględziny. Poinformowano mnie że konfident przyszedł z listą nazwisk / później dowiedziałam się - że nazwiska należały do członków AK/ w celu uzyskania ich adresów zamieszkania. Oczywiście adresy mieli wypisać pracownicy - Polacy z biura meldunkowego.

Teraz należało zająć konfidenta rozmową - co było bardzo ułatwione ponieważ znałam jego warunki rodzinne. Rozmowa toczyła się ~~o~~ sprawach osobistych co nie było trudne i całkowicie obojętnych. Pracowałam w innym dziale - więc chyba nie przypuszczał że jego sprawy "służbowe" mają z ~~emną~~ jakiś związek - niemniej jednak nerwowo wiercił się na ławce - gdyż ja tak usiadłam koło niego że zasłoniłam przejście ~~drzwi~~ do toalety i drzwi do działu meldunkowego - tak aby nie widział co się dzieje w koło. Rozmowa miała trwać tak długo aż umówiona koleżanka nie przejdzie korytarzem. Wszystko udało się - ani jednego adresu - nikt z poszukiwanych nie był zameldowany - wszelkie dowody spłynęły z wodą... w ubikacji. Ślady zatarte.

Na marginesie - zaznaczam - że konfident ten w 1945 r. - w styczniu uciekł z Krakowa - i według uzyskanych informacji koło Oświęcimia został zastrzelony - wykonano na nim wyrok w I Rozpoznano ~~z~~ go. Ta wiadomość jest prawdziwa.

Wspomnienia o tym co robiło się w czasie okupacji na różnych odcinkach zachowania i ratowania polskości oraz przeżycia z tamtych lat / a tych BYŁO O WIELE WIĘCEJ / - były wówczas tak naturalne i tak zrozumiałe dla mnie jako Polki i dla moich koleżanek i wogóle dla Polaków - że nie miało <sup>te</sup> chwili wątpliwości że czegoś nie możnaby zrobić dla drugich dla Polski - dla podkreślenia swojej polskości - .W decydujących momentach gdzieś ulatniał się strach a pozostawała twarda nieugiętość Nasze pokolenie było "chore na Polskę " i takim jest do dnia dzisiejszego...

Słowo - P o l s k a - miało najwyższą - niepowtarzalną wartość.

2.- Do konspiracji wstąpiłam w 1941 r. - w Krakowie po wysiedleniu nas przez Niemców - z Choczni - Wadowic , a po przybyciu do Krakowa i zamieszkanu tu.

Zostałam wprowadzona - polecona przez Lilkę Kuśnierzewską - którą wcześniej poznałam w Patronacie nad Więźniami - przy ul. Kanoniczej - o czym już wspominałam w moich ~~wspomnieniach~~ relacjach. Jak dobrze ją pamiętam - zawsze uśmiechnięta z wielkimi jakby aksamitnymi oczyma - budzą cymi zaufanie... Spotykałam ją często - pomagając w pakowaniu paczek.

19.-

Dobrze pamiętam spotkania konspiracyjne w pięknej willi - usytuowanej chyba przy ul. Słonecznej - a jak mi się wtenczas zdawało - na peryferiach Krakowa. Spotkania odbywały się tam dość często. Pamiętam pierwsze wrażenie było dla mnie piorunujące. W dużym hollu na parterze wisiały mundury / płaszcze / i czapki niemieckie. Dobrze, że nie byłam sama - bo bym ze strachu napewno zwała - sądząc, że to pułapka. Jak wynikało z późniejszego wyjaśnienia - większość mieszkań w tej willi zajmowali Niemcy. Córka właściciela - /ki/ - Mira Weber - zajmowała jeden pokój na I p. w którym odbywały się nasze spotkania - niby herbatka towarzyska - ciasteczka .. . herbata no i broszury konspiracyjne tzw. bibuła... instrukcje ustne - szkolenie - informacje o stanie sytuacji wojennej i to wszystko pod boki Niemców - robiło to dość mocne wrażenie. Mira była obecna na tych spotkaniach - ale z jej nazwiskiem nie spotkałam się na naszej liście harcerek z Chorągwi Śląskiej - należała chyba do innej grupy.

Były też inne punkty kontaktowe w Krakowie - których adresów nie pamiętam.

Należałam do ognia grupy V - w 4-osobowym zespole, w składzie :

- 1.- Czesława Jakubcówna
- 2.- Władysława Aksakówna / ja /
- 3.- Wanda Wolna
- 4.- Zofia Szostak

z zakresem szkolenia i działania d/s kulturalno - oświatowych

Niekiedy odbywały się szkolenia - kontakty na szerszą skalę - po za Krakowem .

Pamiętam - była mroźna i śnieżna zima. Był rozkaz wyjazdu - spotkania w Skolimowie czy Kochanowie / nie pamiętam /. Punkt zborny w tamt. szkole. Dojazd pociągiem - pojedynczo. Zima była naprawdę piękna. Szkoła wśród drzew - koło lasu. Drzewa pięknie ośnieżone - okiście śniegu zwisały z gałązek - podchody i nieprzeparty urok zimy w ośnieżonym lesie... Cisza - jakby wojny nie było... a później wieczorem w szkole - w dużej sali "ognisko harcerskie" - przyciszone śpiewy piosenek harcerskich - odebranie przyrzeczenia harcerskiego - otrzymałam tam krzyż harcerski.. Na tym spotkaniu było dużo harcerek - kilka ogniw.

Krzyż harcerski z tamtego spotkania mam do dnia dzisiejszego - stanowi on dla mnie b. cenną pamiątkę i żywe echo wspomnień z tamtych nocy okupacyjnych. Są na nim wygrawerowane cyfry rzymskie: CXXIV / chyba data, i arabskie :973.

./.



5.- Jest sierpień 1941 r.- piękny , pogodny i ciepły poranek letni. Mieszkam jeszcze w domu Opieki Społ.dla wysiedlonych i uchodźców przy ul.Stradom 27. Jestem tu z-cą kier. tego domu - a równocześnie zastępuję kier domu Opieki Społ, w Rynku Gł. 12 -Franę Zbożil, która jak mnie odgórnie poinformowano jest jeszcze na urlopie - nie wróciła.Za okupacji Polakom pracującym przysługiwało 6 dni urlopu wypo- czynkowego w roku. Zdziwiona byłam że tak wcześnie rano polecono mi iść do domu w Rynku Gł. Jak się później okazało w biurze Opieki Społ. już wiedzieli że gestapo szuka Frany - ale niestety mnie o tym nie uprzedzono... Wchodzę na I.piętro budynku w Rynku Gł.12 -od oficyn. Gdybym przewidziała... W obszernym hollu... gestapo - jeden cywil i umundurowany oraz aresztowany - nazwisko aresztowanego - jak się później dowiedział Franciszek Jogałka.

W pierwszym odruchu przerażenia cofnąłam się - ale gdzie i dokąd?... i tak by się nie udało - nie było odwrotu, gestapo już było przy mnie. Dokumenty... o co chodzi?... zastępuję kier. tego domu w czasie jej urlopu.Gdzie jest"Frana"?... trzeba wyjaśnić ,że to skrót jej imienia i pod tym skróttem była znana w organizacji harcerskiej przed wojną i w czasie okupacji -oczywiście w Krakowie- jako czynna działaczka.

Gdzie jest ? - na urlopie - dopowiadam.Już powinna wrócić.~~Tuż~~  
~~wróci~~ To pewnie wróci.Poczekamy!.Czekają. Mijają ciężkie -gruzgocące chwile...Przecież to jasne - że nie wróci - ale co robić- o co jeszcze zapytają i co zwobią?...

Rozmowa prowadzona jest w języku niemieckim mocno kulejącym...Star- ram się ~~nie~~ nie rozumieć czego odemnie chcą.Żądają klucza od pokoju Frany. Tego się najwięcej bałam.Klucza nie miałam przy sobie,ale wie- działam że jest na sali mieszkańek wysiedlonych/ sala ta była wspólnym mieszkaniem kilkudziesięciu osób- sypialną , jadalną - całym mieszka- niem/- a klucz od pokoju Frany był u jednej staruszki ba sali która przeważnie nie ruszała się z łóżka- trzymała go pod poduszką./ Staralam się wmówić gestapowcom że nic nie wiem gdzie jest klucz ale zapętam na sali czy kto nie wie. Przechodzę przez salę - patrzą na mnie wyczekująco i z lękiem. Przechodzę koło tej co ma klucz- patrzę na nią ~~wy~~ uparcie i oczyma daję znak i portzasa głową " nie ".

Nie ma klucza -podchodzą do drzwi i chcą je wyważyć. Tłumaczę jak mogę, że to nie ma sensu, że klucz pewnie jest w biurze i poszlę po niego. Zrezygnowali.Drzwi zostały zamknięte. Dziś z perspektywy lat- uświadamiam sobie - że ta rozmowa z gestapo była tak naiwna że wprost trudno uwierzyć że gestapo nie wyważyło tych drzwi- a później zaszły wypadki że na rewizję było już zapóźno-zresztą byłaby bezcelowa. Ponieważ odemnie nic więcej nie mogli się dowiedzieć-powiedzieli: jedziemy do tłumacza".

Po wyjściu na ulicę - zorientowałam się do jakiego tłumacza. Zawołali dorożkę.Jedziemy ul.Karmelicką - a słońce tak pięknie świeci..



/dopisek -zakonczenie str. 20-tej/

Siedzę razem z moim aresztowanym towarzyszem - jak się okazało kuzynem Frany.

Przechodnie patrzą na nas - wiedzą chyba co to znaczy. Może widzieli nas.....

/ dalszy ciąg - vide str 21 /

znajomi-bo biurze Opieki Społecznej już o tym wiedziano ...  
 Skręcamy w ulicę Pomorską...Siedziba Gestapo ... biura...Więzienia..  
 Wchodzimy .Drzwi ~~wahadk~~ otwierają się pod naciskiem specjalnych  
 automatów - tak jak o tym mówiło się w kołach polskich...  
 Prowadzą nas do jakiegoś pokoju / nr. nie pamiętam / na II p.-  
 Siadamy pod ścianą, Zostawiają nas samych. Nie rozmawiamy, zdajemy  
 sobie sprawę z podsłuchu, no i podglądu... Na wieszakach ~~na~~ mundu-  
 ry i czapki... Patrzą na nas słowieszczo "trupie główki"...  
 Nieznośna cisza i to niepokojące oczekiwanie.  
 Co będzie dalej. Od czasu do czasu do pokoju wchodzi jakiś gestapo-  
 wiec i wychodzi... Na dłuższy czas zatrzymała się gestapowiec-kobie  
 ta.

Po kilku godzinach - takiego czekania przychodzi gestapowiec i za-  
 czyną mnie przesłuchiwać ze sporządzeniem protokołu.  
 A więc jak zwykle personalia - a potem znów to zgrzytliwe pytanie-  
 gdzie przebywa "Frana" - Krzyki i grożenie... Nie wiem.  
 Gestapowiec oświadczył mi że będę zwolniona - ale jak spotkam się  
 z Franą to mam jej powiedzieć żeby zgłosiła się na gestapo - bo  
 w przeciwnym razie zaaresztują jej matkę i siostrę...  
 Tak powtórzę jej to - jeżeli ją spotkam - odpowiadam: Mam również  
 natychmiast dać znać na gestapo kiedy i gdzie przebywa Frana...  
 Wyprowadzają mnie za bramę ~~wixPan~~ gmachu gestapo przy ul.Pomorskiej.  
 Jestem przybita - myśli gorączkowo kłębią się w głowie! Co robić...  
 co dalej?..

Wsiadam w tramwaj. Postanawiam natychmiast jechać do domu Opieki  
 Społecznej - w Rynku ~~GI~~ 12 - i otworzyć pokój Frany. Wiem że w poko-  
 ju było zawsze dużo fotografii i listy... Może się uda. A jeżeli  
 nie... Może jeszcze nikt za mną nie jedzie.

Wchodzę do domu. Zabieram klucz i otwieram pokój. Naprzeciw okna -  
 po drugiej stronie ulice w bramie koło "Delki" - stoi znajomy Frany-  
 skinęłam na niego - idzie... Zebrałam na przed~~ce~~ wszystkie listy  
 zaadresowane do różnych osób poza Krakowem / były też do Warszawy/  
 i mnóstwo różnych fotografii .Znajomy Frany P. Kazik M. jej <sup>w</sup> później-  
 szy mąż / b.więzień Pawiaka, Majdanka i Buchenwaldu - żyje /  
 zabrał odemnie listy i fotografie i przekazał mi że Frana czeka na  
 mnie - określił miejsce na Olszy - ~~w~~ miejscu trochę odludnym - koło  
 jakiegoś muru. Nie namyślając się i nie zastanawiając się nad tym  
 że jest b. ryzykowne postanowiłam się z nią spotkać.

Pojechałam tramwajem- przesiadając się po drodze w inny wóz- by na  
 wszelki wypadek zmylić ślad. Jakies bramy , jakies przejścia. w cu-  
 kierni którą znalazłam po drodze kupiłam trochę ciastek -sądziłam  
 że może być głodna...

Po krótkich poszukiwaniach - i celowych błędzeniach spotkałam się

do Fr. 21.

> Z Fr. Jogałką - którego nie wypuszczono pożegnałam się serdecznie -  
dodając mu otuchy - by nie załamywał się i był dobrej myśli... no cóż -  
tak jakby to miało mieć jakieś znaczenie.

z Franą. Powtórzyłam jej cały przebieg aresztowania i przesłuchania. Bardzo płakała. Chciała się zgłosić na gestapo. Stanowczo jej odradzałam - tłumacząc że matkę i siostrę też zaaresztują a ją wykończą... w przypadku gdy się zgłosi - a prócz tego mogą jeszcze więcej osób zaaresztować a to może być fatalne dla organizacji. Bała się panicznie o matkę i o siostrę która miała małe dzieci.

Pożegnałam się z nią serdecznie - informując ją również że listy, fotografie i inne rzeczy oddałam P. Kazikowi.

Jednocześnie nadmieniam - że teraz niedawno - widziałam się z mężem św.p. Frany - która zmarła kilka lat temu - i opowiedział mi że ~~xxxxx~~ Frana w tym czasie ukrywała się u znajomych gdzieś na Olszy - Następnie uciekli do Warszawy - tam również w czasie okupacji odbył się ich ślub. Matkę Frany poinformowałam o wszystkim. Matkę i siostrę Frany rzeczywiście aresztowali - ale po ~~xxxxx~~ jakimś czasie wypuścili - nie wiem jak długo były aresztowane - ale z opowiadania wiem że jakieś kilkanaście tygodni.

Wróciłam do domu Opieki Społ. - w Rynku Gł. 12 - zamieszkałam już w pokoju Frany, / takie było polecenie władz Opieki Społecznej / Mieszkanki tego domu poinformowały mnie - że nie było nikogo podejżanego - mikt się nie pytał o mnie.

Uspokoiliam się trochę. Ale nie na długo... Pod wieczór przyszedł gestapowiec - cywil.

Widziała się Pani z Franą? - Nie odpowiadam - nie mam pojęcia gdzie może być.

I znów to samo - jak ją Pani spotka niech jej Pani powie ... itd.... Dobrze odpowiadam - jak ją będę widziała. A więc nie towarzyszył mi "anioł stróż" - jak szłam na spotkanie z Franą...

Niemcy nie przypuszczali do czego są zdolni Polacy i to bezpośrednio po opuszczeniu ul. Pomorskiej... Nie sądzili - że ta Polka potrafi być tak ~~bezczelna~~ bezczelna - ich zdaniem.

To mnie trochę uspokoiło - a także i to że gestapo chyba nie wiedziało jak wygląda Frana.

Wizyty gestapo - miałam codziennie a nieraz i 2 razy w ciągu jednego dnia. Rewizji <sup>już</sup> nie przeprowadzali - chyba się zorientowali że to już nie ma sensu.

Ale kłaść się spać i nie wiedzieć ~~co~~ co przyniesie noc i dzień następny... I tak było prawie przez 6 tygodni.

Byłam całkowicie osamotniona. Z biura Opieki Społecznej przez ten czas nikt nie przyszedł ani nie zainteresował się mną - każdy bał się panicznie o siebie - a przecież, jak się później dowiedziałam, pracowali tam spokojnie ludzie którzy byli też zaangażowani w sprawy polskie. Z Biura Opieki Społ. przekazano mi zakaz <sup>biura</sup> przychodzenia do

Ale nie przychodził do mnie i to niemał codziennie wieczorem <sup>Bali się.</sup> jeden pracownik Opieki Społecznej - z biura - aktor Władysław Woźnik.

W pokoju było pianino. Grał mazurki Szopena i czasem... marsz za-  
~~Kobny~~... Podniósł mnie na duchu i zawsze znalazł dla mnie ciepłe-  
pocieszające słowo. Nie bał się. Nigdy tego nie zapomniałam -  
Jeszcze jak po wojnie spotkaliśmy w Krakowie - był już wówczas  
dyrektorem teatru w Katowicach - ~~nie~~ wspominaliśmy tamte ciężkie  
dla mnie chwile . Tak, to był Polak o wielkim i nieugiętym sercu.  
Mijały tygodnie a sytuacja nie ulegała zmianie.

Pewnego dnia - gdzieś z końcem m-ca września 1941 e.- otrzymałam  
wiadomość że mojemu bratu Jankowi - który przebywał u krewnych  
w Barwałdzie znów "depcze po piętach " gestapo , że trzeba go  
natychmiast zabrać stamtąd.

Nie namyślając się i nie bacząc na sytuację w jakiej się znajduję  
kupiłam bilet do Kleczy / k. Barwałdu / na godz. 16 - tą / coś koło  
tej godziny /- ratowanie brata było dla mnie ~~rzecz~~ najważniejszą  
sprawą - mimo że czułam iż jestem śledzona.

Wróciłam jeszcze do domu opieki - by powiedzieć mieszkankom że  
dziś muszę wyjechać do Barwałdu do Mamy - która też mieszkała  
w Barwałdzie - tylko u innych krewnych.

Bardzo bałam się o brata. Młody 17-letni <sup>wówczas</sup> chłopiec już w chwili  
wybuchu wojny mocno zaangażowany w sprawę Oczyszczania i walki o jej  
wyzwolenie - a teraz w czasie ciemnej nocy okupacji związany  
już mocno ze sprawą Polską... Jak lękałam się o niego - czy zdołam  
mu pomóc - czy nie skończy się to tragicznie dla nas obojga.

Dnia poprzedniego - gestpowiec / mówiący dobrze po polsku - iluż to  
w gestapo było takich co mówili dobrze po polsku - nieraz zastanawia-  
łam się kto oni są... / zaczął mi grozić, krzycząc że to nieprawda  
że nie wiem gdzie jest Frana - zadawał mi dziesiątki pytań - wszystko  
notował - i krzyczał że kłamię - że będę zaraz inaczej śpiewać -  
jak się znajdę na Montelupich ... Byłam już tak zdruzgotana tym  
wszystkim - że siły odmawiały mi posłuszeństwa - a tu jeszcze ta  
wiadomość o Janku.

Przygotowałam się do drogi - przygotowałam walizeczkę... a tu przy-  
chodzi gestapo... i znów to samo - krzyki , groźby - wiem że mnie  
śledzą , nie mam wyjścia , mówię do gestapowca " dziś koło godz.  
16-tej wyjeżdżam do Mamy do Kleczy- Barwałdu - żeby pan nie myślał  
że <sup>mówię do niego</sup> uciekam" - fizykowałam, ale inaczej nie mogłam i to okazało się  
~~nie~~ słuszne - a może ~~nie~~ tylko pomógł mi przypadek?... .

Muszę jeszcze zaznaczyć - że w ciągu tych tygodni przychodzili różni  
gestapowcy - chyba dlatego bym żadnego z nich nie zapamiętała  
i nie poznała na ulicy.

Gestapowiec wyszedł - a ja podążyłam na stację do pociągu. Cały czas  
miałam wrażenie że ktoś za mną idzie - starałam się o tym nie myśleć  
ale to mi się nie udawało - ta myśl , że jestem śledzona , uparcie  
mi towarzyszyła - przeczucie nie zawiodło mnie .

Pociąg ruszył. Do seperatki wsiadło 2-ch mężczyzn. Przedział wypełniony pasażerami. Milczę cały czas - ale nie mogę ukryć mojego zmartwienia - czuję, że odbija się to na mojej twarzy.

W Kalwarii przesiadka - do pociągu zdążającego w stronę Wadowic. Czekamy na połączenie z godzinę.

Wchodzę do poczekalni. Siadam na ławce przy dużym stole. Dużo ludzi - zwłaszcza kobiet wiejskich.

Walizkę położyłam obok siebie na ławce. Dwaj mężczyźni z przedziału weszli do poczekalni. Jestem znów podenerwowana. Zobaczyłam koleżankę z Wadowic z synkiem - podeszłam do niej i postanowiłam ją kawałek odprowadzić. Walizkę zostawiłam na ławce i poprosiłam jakiejś siedzącej kobiety - by mi przypilnowała a ja za chwilę wrócę.

Wróciłam po ~~jak~~ 20 minutach. Przy mojej walizce siedział jeden z seperatki - i rękę trzymał na walizce. Zrozumiałam, Jakby nigdy nic - przprosiłam go i usiadłam koło walizki. odsunął się.

Nagle podchodzi do mnie znajoma <sup>z Chocim</sup> - siada przy mnie i zaczyna mówić szeptem - ale dość głośnym że jedzie do Wadowic i chce się dostać przez zieloną granicę... zaczynam ją kopać / pod stołem / żeby przestała mówić - ale ona jest kompletnie nie zorientowana czego od niej chcę - wstaję i mówię do niej byśmy wyszły na peron.

Wychodzimy. Przy wyjściu do pociągu na peronie - podaję bilet kolejarzowi - niestety nie kolejarz go odebrał - bilet z ręki <sup>zabrał</sup> ~~wyjął~~ mi jeden " anioł stróż " - wyjął kartkę z kieszeni - miał coś na niej napisane porównał z moim biletem - i oddał mi bilet...

Wsiadamy do pociągu, Wchodzę do seperatki - a zenną moja znajoma z Wadowic. Seperatka pusta. Pociąg rusza. Zdążyłam tylko powiedzieć mojej znajomej że nie może mówić takich rzeczy o przejściu przez zieloną granicę bo przecież różni ludzie słuchają... Otwierają się drzwi seperatki... wchodzi dwaj mężczyźni - ci co towarzyszyli mi od Krakowa i kontrolowali mój bilet.

Gorączkowo zbieram myśli ... Gdzie wysiąść ?. Postanawiam w Barwałdzie Górnym - mam bliżej do Janka a z Kleczy bliżej do mamy... ale jadę po Janka. Na wszelki wypadek - w Barwałdzie Górnym mam b. blisko lasy - a w lasach już działają " Jędrusie ".

Z Kalwarii do Barwałdu b. blisko. Muszę się się bardzo pilnować i bacznie śledzić kto wysiada...

Pociąg zatrzymuje się na przystanku. Wysiadam. W seperatce pozostaje moja znajoma i ci dwaj... Rozglądam się kto jeszcze wysiada. Nie widzę nikogo... Ale mogą w biegu wyskoczyć. Nie, pociąg coraz to szybciej mknie w stronę kleczy.

Do przystanku dojeżdża kuzyn na rowerze - tam gdzie przebywał Janek. Proszę go by Janek natychmiast ~~prx~~ szedł w moim kierunku. Nie mamy chwili do stracenia -. Następny pociąg w stronę Krakowa jedzie <sup>za</sup> parę

naście minut. Popędził na rowerze. Odległość od przystanku do jego domu- gdzie przebywał Janek niewielka.

Spotykam się z Jankiem. Jesteśmy już w drodze powrotnej do Krakowa. Wszystko odbyło się niemal błyskawicznie.

Na wszelki wypadek prosiłam kuzyna by uprzedził Mamę / moją/ że byłam, że Janka zabrałam - i aby na wypadek czegoś mówiła że byłam u niej- a o Janku nic. Jak się później okazało - było to zbyteczne u Mamy nikt się o nic nie pytał - a Janek mieszkał zupełnie gdzieindziej. W Krakowie ulokowałam Janka chwilowo przy ul. Stradom 5 - u p. Ireny Lewickiej - w jej pokoju - z którą po opuszczeniu pokoju w domu Opieki Społ. przy ~~ul.~~ Rynku Gł. 12 - pokoju po Franie - zamieszkałam. Już wówczas wiedziałam że będę mieszkać z Ireną L. Dom tzw. noclegowy przy ul. Stradom 27 - miał ulec likwidacji.

W Krakowie - Janek zatrzymał się krótko - parę dni . W obawie przed pościgiem wysłałam go do Lublina - do klasztoru OO Karmelitów Bosych- gdzie wówczas przebywał - zdaje się że był Przeorem - O. Jacek- nasz dobry znajomy jeszcze z Wadowic. Ale i tam nie mógł długo ukrywać się. Znow zaczynało być koło niego gorąco - niebezpiecznie jak zwykle ~~zawsze~~ był czynny - Poszedł do partyzantki- do AK - w lasy lubelskie - gdzie walczył do końca wojny. W międzyczasie przybył jeszcze do Krakowa - chory - coś z płucami - trzeba go było leczyć ale jak i kto?... w tym czasie z pomocą przysłała nam Janka Kotecka - To ona skierowała Janka do lekarza / zaufanego / - gdzieś go zakwaterowała - ale gdzie ,to obie nie możemy sobie tego przypomnieć - wiem i pamiętam , że nosiła mu obiady.- dostarczała lekarstw. Wyleczył się ... ale zaraz poderwał się do powrotu - ~~na własną rękę~~ z powrotem w lasy lubelskie.

Od dnia mojego wyjazdu do Barwałdu i tych przeżyć w czasie podróży - gestapo już przestało mnie "odwiedzać" w Krakowie.

Co było tego przyczyną - jest dla mnie zagadką i tajemnicą do dnia dzisiejszego.

Jak się później okazało - gdy po pewnym czasie przypadkowo spotkałam tą znajomą z tej pamiętnej podróży do Barwałdu - ci dwaj agenci gestapo - po moim wyjściu z pociągu wylegitymowali ją - pewnie sądzili że jest to - ta poszukiwana przez nich Frana.

A może uwierzyli - że nie widziałam Frany od chwili opuszczenia gmachu ~~ul.~~ gestapo - przy ul. Pomorskiej?... Nie wiem czy to jest prawdopodobne. ale coś w tym musiało być.

Frana nie zgłosiła się na gestapo. Uciekła i nie złapali jej nigdy.

Natomiast aresztowali jej męża - owego Kazika o którym już pisałam - który przebywał w kilku obozach koncentracyjnych - wymieniłam je w poprzednich relacjach - Wyszedł. Jest członkiem ZBWiD - Starszy Pan- na którym ~~nie pamiętam~~ przejścia obozowe zostawiły trwałe piętno- nawet niewiele pamięta z tego czasu kiedy go spotkałam zaraz po wypuszczeniu mnie z Pomorskiej- ~~nie pamiętam że to był ten Fran~~ może sobie w.

Wprawdzie przypomniał sobie tamte wydarzenia sierpniowe w 41 r. <sup>32</sup> ale



ale twarzy mojej nie mógł sobie przypomnieć - nic dziwnego, przeszły nad nami lata ciężkie i długie... Okoliczności pamięta. Udzielił mi informacji o ukrywaniu się - w tamtym czasie - Frany i swoim - gdyż jak się okazało jego też szukało gestapo - oraz o ich dalszych wspólnych losach po ucieczce z Krakowa... aż do śmierci Frany. W czasie tego spotkania, nie mogłam się ~~przeć~~ oprzeć przykremu i bolesnemu uczuciu - jakie głębokie ślady może pozostawić na człowieku tragedia przeżyć.

#### IV.- Okres powojenny.

Pozostałam w Krakowie - chociaż początkowo nie miałam takiego zamiaru. Na to złożyły się okoliczności - które bezpośrednio uderzyły w moje życie osobiste.

Do domu - do Choczni wróciła tylko Mama i to na krótko. Była biedaczka chora - b. chora. Pracowała ciężko fizycznie przez całą wojnę i to odebrało jej zdrowie. Już pracować nie mogła. Wszystko było zdewastowane - Wymagało dużych nakładów pracy i finansowych - czego nie mieliśmy - a przecież odszkodowania nie dano nam. Trzeba było wszystko zaczynać od nowa a na to niestarczyło już sił i nie było funduszy. „Dzieci” były „rozprószone po świecie”... Mamę zabrały do siebie dzieci - a ściślej, moja starcza siostra - która jedyna z nas wszystkich miała samodzielny dach nad głową ...

A dalsze losy Janka i Reni - tej małej Reni ?... Obydwoje ukończyli gimnazjum a potem studia wyższe. Janek - ekonomiczne w Warszawie, a Renia chemiczne na ~~UJ~~ - w Krakowie. Mają rodziny i życie ułożyło im się pomyślnie.

Na marginesie - muszę jeszcze zaznaczyć <sup>jak i /</sup> że Janka z partyzantki z lubelskiego zabrano do wojska - całe oddziały partyzantów z tych okolic. Po zakończeniu wojny - po kilku miesiącach poszedł do cywila Ja, po zakończeniu działań wojennych - oczywiście musiałam pracować, a jednocześnie zaczęłam studiować na Wydziale Dziennikarskim UJ w Krakowie w latach akademickich 1947/1951 r. - Studia - stacjonarne - ukończyłam. / egzamin końcowy - dyplomowy IV/1951 r. - Miałam o tyle ułatwione zadanie - że wykłady rozpoczynały się po południu - między 15-tą a 16-tą - ale trwały do godz. 22-iej - codziennie. Ale sama świadomość że można się jawnie uczyć po polsku, mówić i pracować - rekompensowała wszystkie inne niegomaszania .

Po ukończeniu studiów - nie pracowałam w swoim zawodzie - z przyczyn jakie podałam na wstępie kwestionariusza - a później... później już było za późno...

Od zakończenia wojny pracowałam w Zarządzie Miejskim w Krakowie - co było jakby / jeżeli chodzi o zakres pracy / odpowiednikiem instytucji z okupacji. Ale nie długo - bo do czerwca 1949 r. - była kompresja etatów a ja... studiowałam. Następnie b. krótko w Nowej Hucie - przy budowie - niestety szczegółów mojego stamtąd odejścia nie mogę w żadnym wypadku podać w tych wspomnieniach... Zaznaczę tylko - że przeżyły ./.

rok miałam ogromne trudności w otrzymaniu pracy. Dobrze że studiowałam. W uzyskaniu pracy pomógł mi kolega ze studiów/ z innego Wydziału/ - z którym uczęszczałam na lektoraty jez. niemieckiego - siedzieliśmy w jednej ławce... Był on kierownikiem Dz. Kadr w MHD /Miejski Handel Detaliczny/ w Krakowie. Szczerze powiedziałam mu wszystko... Przyjął mnie do pracy bez opinii z poprzedniego miejsca pracy... co w tamtych czasach było niedopuszczalne. Gdyby nie on - nie wiem jak potoczyłyby się moje losy. W MHD zaczęłam pracować od 1. XI. 1950 r. - aż do końca... Zajmowałam różne stanowiska - przeważnie samodzielne, a przez szereg lat byłam kierownikiem Działu Techniki Handlu - i z tym stanowiskiem od dnia 1. I. 1974 r. - przeszłam na emeryturę - zaliczona po 29 latach pracy w Polsce Ludowej do wstydlwego "starego portfela" - to było tuż przed regulacją płac w handlu, dosłownie jakieś 3-4 miesiące. Zmuszona byłam - integracja.

Jak wyglądała praca w warunkach powojennych - nie będę wspominać - na ten temat napisano tomy... a historia tych lat mówi sama za siebie. Przez cały okres pracy zawodowej - w Polsce Ludowej pracowałam społecznie w Radzie Zakładowej. Od 1954 r. - byłam bez przerwy przewodniczącą Kasy Zapomogowo-Pożyczkowej - aż do ostatniej chwili tj. do czasu przejścia na emeryturę.

Z okresu mojej pracy, posiadam srebrny krzyż zasługi przyznany mi przez Radę Państwa - 1969 - kiedy jeszcze nie rozdzielano tak szczerze ~~krzyży~~ odznaczeń - oraz srebrną odznakę z CRZZ - za pracę społeczną i trochę innych mniejszych odznaczeń...

Obecnie pracuję jeszcze na 1/2 etatu - w WSS "Społem" - dorabiam sobie do "starego portfela"...

#### V.- Dokumentacja.

Posiadam trochę różnych dokumentów z czasów okupacji - ale są to takie różne zezwolenia - przepustki - "Kennkarte" - no i Krzyż harcerski itp. ale nie wiem czy to może mieć jakie znaczenie - raczej nie i chyba w niczym nie może być pomocne.

-----  
Na tym kończę moje wspomnienia z lat okupacji i krótką relację z lat powojennych. Pisane są "na gorąco" - na maszynie. Jest <sup>to</sup> brudnopis. Nie przepisuję go - bo może nie przyda się to nikomu.

Może moje wspomnienia w niektórych fragmentach wywołają refleksje a nawet kontrowersje - ale niestety, nie mogłam inaczej... Wszystko co napisałam, oczywiście w śrócie - żyje we mnie... Wspomnienia te nie są dla mnie historią ale dniem wczorajszym...

Kraków, czerwiec-lipiec 1979 r.-

*Wład. Tomasz Krasak*

# ARKSAK WŁADYSŁAWA

ARCHIWUM  
306/sł.



AKSAK Władystawa

